

LUCY MAUD MONTGOMERY

**ANNE
ZE ZŁOTYCH
ISKIER**

PRZEŁOŻYŁA ANNA BAŃKOWSKA

MARGINESY

– JAKIE BIAŁE JEST dziś światło księżycyca – szepnęła do siebie Anne Blythe. | 11

Szła właśnie przez ogród do frontowych drzwi domu Diany i Freda Wrightów. W przesyconym solą powietrzu morską bryza zwiewała płatki kwiatów wiśni.

Przystanąła na chwilę, żeby popatrzeć na okoliczne wzgórza i lasy, które tak niezmiennie kochała od dawnych czasów aż po dziś dzień. Drogie Avonlea! Wprawdzie od wielu lat jej dom znajdował się w Glen St. Mary, ale ta osada miała w sobie coś, czego Glen zawsze będzie brakowało. Tutaj za każdym zakrętem czyhały na Anne jej osobiste duchy... Tutaj witały ją pola, po których kiedyś się włóczyła, tu otaczały ją niemilknące echa dawnego beztroskiego życia, a każde miejsce budziło jakieś miłe wspomnienie. Tu wreszcie znajdowały się nawiedzone ogrody, gdzie rozkwiatały wszystkie róże przeszłości. Anne zawsze uwielbiała powroty do Avonlea, nawet jeśli – tak jak teraz – powód wizyty był smutny. Przyjechali tu razem z Gilbertem na pogrzeb jego ojca, ale ona została na cały tydzień, bo Marilla i pani Lynde nie mogły znieść myśli o tak rychłym pożegnaniu. Szczytowy pokój nad gankiem

zawsze czekał, w każdej chwili gotów na przyjęcie dawnej mieszkanki. Kiedy Anne weszła na górę zaraz po przyjeździe, zobaczyła na stoliku wielki bukiet wiosennych kwiatów od pani Lynde. Od razu zanurzyła w nim twarz i wydało jej się, że wdycha cały zapach tamtych niezapomnianych lat. Spotkała tu siebie z przeszłości i w jej sercu wezbrała ta sama, dobrze znana fala głębokiego ukontentowania. Ten szczytowy pokój zamykał ją w swoich ramionach, obejmował, otulał. Anne spojrzała z czułością na swoje stare łóżko z wydzierganą przez panią Lynde narzutą w listki jabłoni i nieskazitelne poduszki, ozdobione koronkami jej roboty, na plecione dywaniki Marilli... na lustro, w którym kiedyś odbijała się twarzyczka małej sieroty. Sieroty, która w swą pierwszą noc nie mogła przestać płakać, dopóki nie zmorzył jej sen. Anne nie pamiętała w tej chwili, że jest już szczęśliwą matką pięciorga dzieci i że Susan Baker w Żółtych Iskrach po raz kolejny dzierga w tajemnicy jakieś małe buciczki. Teraz znów była Anne z Zielonych Szczytów. Kiedy pani Lynde weszła z czystymi ręcznikami, zastała ją zapatrzoną marzycielsko w lustro.

– Jak dobrze mieć cię znów w domu, Anne, ot co! Minęło dziewięć lat od twojego wyjazdu, ale obie z Marillą ciągle za tobą tęsknimy. Wprawdzie odkąd Davy się ożenił, nie jest już w domu tak pusto. Millie to naprawdę miłe stworzenie, a te jej wypieki...! Niestety jest strasznie wścibiska i wszystko musi wiedzieć, a ja zawsze powtarzam, że z tobą i tak nikt się nie może równać.

– Ale lustra nie da się oszukać, ono wyraźnie mówi: „Nie jesteś już taka młoda...” – odrzekła przekornie Anne.

– Za to zachowałaś swoją dawną cerę – pocieszyła ją pani Lynde. – Chociaż w kwestii kolorów i tak nie miałaś zbyt wiele do stracenia.

– W każdym razie na drugi podbródek nigdy się u mnie nie zanosilo – zauważyła wesoło Anne. – I mój dawny pokój nadal o mnie pamięta. Cieszę się, bo byłoby mi naprawdę przykro, gdybym przy którejś wizycie zauważyła, że o mnie zapomniał. A jak cudownie zobaczyć księżyc wschodzący nad Nawiedzonym Lasem!

– Wygląda na tym niebie jak wielki kawał złota, czyż nie? – Pani Lynde poczuła, że popada w niestosownie poetycki nastrój. Dobrze, że Marilla tego nie słyszała.

– I te czuby jodeł na jego tle... A niżej brzozy, które wciąż wyciągają ramiona ku wysrebrzonemu niebu... Teraz to już duże drzewa, a kiedy tu przyjechałam, były jeszcze malutkie. I także dlatego czuję się nieco staro.

– Bo drzewa są jak dzieci – przyznała pani Lynde. – To straszne, jak one szybko rosną. Wystarczy, że się na chwilę odwrócisz... Weź choćby Freda Wrighta. Ma ledwie trzynaście lat, a już jest prawie wzrostu swego ojca. Na kolację mamy zapiekankę z kurczaka i trochę cytrynowych ciasteczek. I nie obawiaj się spać w tym łóżku, wywietrzyłam dziś pościel. Marilla, nie wiedząc o tym, zrobiła to drugi raz, a potem jeszcze Millie, która myślała, że o tym nie pamiętamy. Mam nadzieję, że Mary Maria Blythe przyjdzie jutro, ona tak lubi pogrzeby...

– Ciotka Mary Maria... Gilbert zawsze tak ją nazywa, chociaż to tylko kuzynka jego ojca. Ona zwraca się do mnie „Annie”! – Anne wzdrygnęła się z obrzydzenia. – Gdy tylko mnie poznała po naszym ślubie, zauważyła: „Jakie to dziw-

ne, że Gilbert właśnie ciebie wybrał. Miał do wyboru tyle miłych dziewcząt”. Może dlatego nigdy jej nie polubiłam... I wiem, że Gilbert też za nią nie przepada, chociaż się do tego nie przyznaje, bo ma takie silne poczucie klanowości.

– Czy Gilbert zostanie na dłużej?

– Nie, wraca jutro wieczorem. Zostawił pacjenta w krytycznym stanie.

14 | – No tak, przypuszczam, że po śmierci matki w zeszłym roku nic już go w Avonlea nie trzyma. Starszy pan Blythe nigdy się nie pozbierał po stracie żony... Po prostu nie miał już po co żyć. Blythe'owie zawsze za bardzo przywiązywali się do ziemskich spraw. Smutno, że w Avonlea nie został już nikt z tego pięknego, starego rodu. Za to Sloane'ów mamy tu do wyboru, do koloru, ale oni zawsze są tylko Sloane'ami i będą nimi na wieki wieków, amen.

– A niech się mnożą na zdrowie. Ja po kolacji zamierzam obejść cały ten stary sad w blasku księżyca. I chociaż w końcu będę musiała się położyć, zawsze uważałam, że przesypianie księżycowych nocy to strata czasu. Ale koniecznie chcę jutro wcześniej wstać i zobaczyć, jak znad Nawiedzonego Lasu wkrada się pierwsze światło poranka. Niebo nabierze barwy koralu, wokół będą skakały drozdy, może nawet na parapecie przysiadzie szary wróbelek... I popatrzę sobie na te złote i fioletowe bratki...

– Króliki wyżarły wszystkie czerwcowe lilie* z rabatki – powiedziała ze smutkiem pani Lynde, przemieszczając się w stronę schodów.

* Lokalna nazwa narcyzów, preferowana przez panią Lynde (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

W głębi duszy czuła ulgę, że nie musi już rozplęwać się nad księżycem; Anne zawsze miała takie dziwne skłonności i raczej nie zanosilo się, że z nich kiedyś wyrośnie.

DIANA WYSZŁA PRZYJACIÓŁCE na spotkanie. Nawet przy księżycu można było zauważyć, że jej włosy nadal są czarne, policzki różowe, a oczy pełne blasku. Ale też nie dało się ukryć, że mocno przybrała na wadze, chociaż i tak nigdy nie należała do – jak to mówiono – chudzielców.

| 15

– Nie martw się, kochana, ja tylko na momencik.

– No wiesz?! Czym miałabym się martwić? – oburzyła się Diana. – Przecież o wiele bardziej wolę spędzić ten wieczór z tobą niż na przyjęciu. Nie nacieszyłam się tobą jeszcze, a już pojutrze wyjeżdżasz... Ale sama rozumiesz, to brat Freda i po prostu musimy...

– Oczywiście, że musicie. A ja naprawdę przybiegłam tylko na chwilę. Tą starą drogą, wiesz, koło Fontanny Driad... przez Nawiedzony Las, koło waszego starego ogrodu i Wierzbowego Oczka. I nawet zatrzymałam się tam, żeby naszym starym zwyczajem popatrzeć na wierzby przeglądające się w wodzie. Ależ one urosły!

– Jak wszystko – odrzekła Diana z westchnieniem. – Weź choćby młodego Freda. Zmieniliśmy się wszyscy... prócz ciebie. Ty wciąż wyglądasz tak samo. Jak ci się udaje zachować tak szczupłą figurę? Spójrz tylko na mnie!

– Trochę już przypominasz matronę – przyznała Anne ze śmiechem – ale niekoniecznie taką w średnim wieku. Mówisz, że się nie zmieniam? No cóż, pani H.B. Donnell też tak uważa. Powiedziała mi na pogrzebie, że nie posta-

rzałam się nawet o jeden dzień. Za to pani Harmonowa Andrews wykrzyknęła: „Mój Boże, Anne, ale się posunęłaś!”. Wszystko zależy od oka... albo nastawienia. Ja czuję upływ czasu tylko wtedy, gdy oglądam zdjęcia w magazynach. Modelki i modele wydają mi się stanowczo zbyt młodzi. Ale nie przejmuj się, Di, jutro znów będziemy dziewczynkami. Właśnie po to przyszedłam, żeby ci to zakomunikować. Weźmiemy sobie wolne popołudnie i wieczór, odwiedzimy wszystkie stare, ukochane miejsca. Powędrujemy przez wiosenne pola i przez te lasy z gęstwiną paproci, i przez pagórki, na których odnajdziemy młodość. Wiesz, na wiosnę nic nie jest niemożliwe. Odłożymy na bok rodzicielską odpowiedzialność i staniemy się znów rozchichotanymi trzpiotkami, zresztą pani Lynde w duchu nadal mnie za taką uważa. Nie można cały czas być tak strasznie rozsądną, to żadna przyjemność.

– Jakież to dla ciebie typowe! O niczym innym nie marzę, ale...

– Żadnych „ale”! Wiem, co sobie myślisz: „Kto poda moim panom kolację?”.

– Niezupełnie. Anne Cordelia może się tym zająć równie dobrze jak ja, chociaż ma zaledwie jedenaście lat – odparła z dumą Diana. – I tak zresztą miała to zrobić, bo wybierałam się na zebranie Koła Pomocy Pań. Ale zrezygnuję z tego, wolę pójść z tobą. To będzie jak spełnione marzenie. Bo wiesz, Anne, wiele razy siadywałam sobie wieczorami i udawałam, że znów jesteśmy dziewczynkami. A kolację zabierzemy z sobą.

– I zjemy ją w ogrodzie Hester Gray... Mam nadzieję, że on nadal istnieje?

– Tak sądzę – odparła Diana niepewnie. – Nie byłam tam od ślubu, za to Anne Cordelia dużo czasu spędza na wędrownkach. Zawsze jej powtarzam, żeby nie oddalała się za bardzo od domu, ale ona uwielbia włóczyć się po lasach. A raz, kiedy zbeształam ją za to, że w ogrodzie gada do siebie, odpowiedziała mi, że wcale nie rozmawia z sobą, tylko z duchem kwiatów. Pamiętasz ten lalczyny serwis do herbaty z malutkimi pączkami róż, który przysłałaś jej na dziewiąte urodziny? Nie stłukła się dotąd ani jedna sztuka, bo Anne Cordelia tak się nad nim trzęsie. Używa go tylko wtedy, kiedy na podwieczorek przychodzą Trzy Zielone Ludziki. I nie mogę z niej wyciągnąć, kto to niby ma być. Powiadam ci, Anne, pod niektórymi względami ona jest znacznie bardziej podobna do ciebie niż do mnie.

| 17

– Może w imieniu tkwi coś więcej, niż dopuszczał Szekspir*. Nie gniewaj się na Anne Cordelię za jej fantazje, Dianu. Zawsze żał mi dzieci, które nie spędzają chociaż kilku lat w Krainie Baśni.

– Teraz w naszej szkole uczy Olivia Sloane. Ma tytuł licencjatki, a posadę w szkole wzięła tylko na rok, żeby być bliżej matki. No i Olivia mówi, że dzieci trzeba konfrontować z rzeczywistością.

– Czy ja dobrze słyszę? Diana Wright głosi sloanizmy?

– Nie... nie... NIE! Nie lubię jej ani trochę. Ma takie okrągłe wyłupiaste oczy jak cały ich ród. I nie przeszkadzają mi fantazje Anne Cordelii, są takie ładne jak kiedyś twoje. Jeszcze zdąży zaznać prawdziwego życia.

* Zob. William Szekspir, *Romeo i Julia*, akt II, sc. 2, przeł. Stanisław Barańczak.

– No to ustalone. Przyjdź o drugiej do Zielonych Szczytów, napijemy się po szklaneczce porzeczkowego wina... To nas wprawi w szatański nastrój. Marilla wciąż jeszcze je robi, na przekór pastelowi i pani Lynde.

– Pamiętasz, jak się nim u was upiłam? – spytała Diana, która nikomu poza Anne nie pozwoliłaby użyć w swojej obecności słowa „szatański”. Ale przecież każdy wiedział, że Anne nie miała nic złego na myśli. Ona taka już jest.

18 | – Urządzimy sobie prawdziwy dzień wspomnień... Ale już cię nie zatrzymuję, widzę, że Fred zajeżdża bryczką. Masz prześliczną suknię.

– Fred kazał mi sprawić sobie nową na to wesele. Ja uważałam, że nas na to nie stać, bo właśnie wykosztowaliśmy się na nową stodołę. On jednak się uparł: jego żona nie może wyglądać jak jakieś popychadło, kiedy wszyscy inni będą paradować w najmodniejszych strojach. Czyż nie iście po męsku?

– O, mówisz jak pani Elliott z Glen – zauważyła surowo Anne. – Uważaj na tę skłonność. Chciałabyś żyć w świecie bez mężczyzn?

– To byłby koszmar – przyznała Diana. – Tak, Fred, już idę. Och, no dobrze... Do jutra, Anne.

W drodze powrotnej Anne przystanęła koło Fontanny Driad. Jakże kochała ten stary strumień! Zachował w sobie każdy wybuch jej dziecięcego śmiechu i teraz zdawało się, że go oddaje jej wytężonym uszom. Stare marzenia... jak wyraźnie odbijały się teraz w czystym źródleku! Dawne przysięgi, dawne szept... wszystko to strumień zatrzymał, o wszystkim tym cichutko szemrał, ale słuchały go już tylko – jak zawsze – stare, mądre jodły Nawiedzonego Lasu.

– TAKI PIĘKNY DZIEŃ... jakby specjalnie dla nas stworzony – zachwycała się Diana. – Ale ta pogoda chyba długo się nie utrzyma... Jutro będzie padać. | 19

– Mniejsza o to. Będziemy dziś chłonać to piękno, nawet jeśli jutro słońce się schowa. I będziemy się cieszyć naszą przyjaźnią, chociaż jutro czeka nas rozstanie. Spójrz tylko na te długie złotozielone wzgórza... na te doliny okryte błękitną mgłą... Są dzisiaj nasze, Diano, i nie obchodzi mnie, że to najdalsze zapisane jest w rejestrze jako własność Abnera Sloane'a. Wieje zachodni wiatr... Zawsze przy zachodnim wietrze budziła się we mnie chęć przygód. Przeżyjemy dziś coś wspaniałego, zobaczysz.

I tak też się stało. Przyjaciółki odwiedziły wszystkie stare, ukochane miejsca: Aleję Zakochanych, Nawiedzony Las, Dolinę Fiołków, Ścieżkę Brzóz, Kryształowe Jezioro. Zaszły tam oczywiście pewne zmiany. Ścieżka Brzóz, dawno nieuczyszczana, zarosła paprociami, po Kryształowym Jeziorze zostało zaś tylko bagniste, omszałe zagłębienie, natomiast Dolina Fiołków rozkwitła fioletem, a z jabłunki samosiejki, którą Gilbert odkrył kiedyś daleko w lesie, wyrosło wielkie drzewo pełne czerwonych pączków.

Szły z odsłoniętymi głowami. Włosy Anne nadal lśniły w słońcu niczym wypolerowany mahoń, a Diany nie straciły nic ze swej połyskliwej czerni. Obie przyjaciółki wymieniały wesołe, porozumiewawcze, przyjazne spojrzenia i czasem w ogóle się nie odzywały. Anne zawsze utrzymywała, że dwie tak rozumiejące się nawzajem osoby jak ona i Diana po prostu wyczuwają swoje myśli. Niekiedy w ich rozmowach powtarzał się zwrot „A pamiętasz...?”. Na przykład: „A pamiętasz, jak wpadłaś do szopy dla kaczek przy Drodze Torysów?”, „A pamiętasz, jak wskoczyliśmy na leżącą w łóżku ciotkę Josephine?”, „A pamiętasz, jak pomalowałaś sobie nos na czerwono w czasie wizyty pani Morgan?”, „A pamiętasz, jak przekazywałyśmy sobie wiadomości za pomocą świecy?”, „A pamiętasz, jak świetnie bawiliśmy się na weselu panny Lavendar? I te wielkie błękitne kokardy Charlotty?”, „A nasz Klub Opowieści?”, „A Koło Entuzjastów?”. I ciągle im się zdawało, że w ich uszach dźwięczą salwy śmiechu z dawnych lat.

Wyglądało na to, że Koło Entuzjastów Avonlea już nie istnieje. Wszelka działalność zamarła wkrótce po zamążpójściu Anne.

– Po prostu nie dawali rady – tłumaczyła przyjaciółce Diana. – Dzisiejsza młodzież w Avonlea nie jest już taka jak za naszych czasów.

– Nie mów tak, jakby nasze czasy dobiegły końca. Mamy teraz ledwie piętnaście lat i jesteśmy pokrewnymi duszami. A powietrze nie tyle jest pełne światła, ile samo jest światłem. I wcale nie mam pewności, że nie wyrosły mi skrzydła.

– Ja też się tak czuję – przyznała Diana, która zapomniała, że tego ranka wskazówka jej wagi zatrzymała się

na stu pięćdziesięciu pięciu funtach. – Często marzę, żeby choć na chwilę zamienić się w ptaka. Jak cudownie byłoby móc latać!

Piękno otaczało je ze wszystkich stron. W ciemnych czeluściach lasu migotały nieoczekiwane akcenty kolorów kuszące do zagłębiania się w boczne ścieżki. Przez młodą zieleń liści sączył się blask wiosennego słońca. Zewsząd dobiegały wesołe ptasie trele. Niektóre kotlinki sprawiały wrażenie stawków z płynnego złota. Za każdym zakrętem bił w nozdrza jakiś nowy zapach: ostra woń paproci, balsamiczny aromat jodeł, rześki podmuch od strony świeżo zarojonych pól. W pewnej chwili przyjaciółki natknęły się na dróżkę tonącą w wiśniowych gałązkach obsypanych kwieciami, gdzie indziej zaś na polanę pełną malutkich, ledwie budzących się do życia świerczków – istnych elfów, które przykucnęły w trawie, na strumyki jeszcze „nie za szerokie do przeskoczenia”*, na siódmaczki rozkwitłe w cieniu jodeł, na łany kędzierzawych młodych paprotek, na brzozę, której jakiś wandal oderwał kawały białej skórki i w kilku miejscach pozostawił nagą korę. Anne patrzyła na to tak długo, że Diana zaczęła się temu dziwić. Nie zauważyła tego, co przyjaciółka: różnorodności odcieni warstw – od najczystszej kremowej bieli po wytworne złote tony, które stawały się coraz głębsze, by na końcu odsłonić całe bogactwo ciemnego, intensywnego brązu. Zupełnie jakby drzewo chciało wyznać, że wszystkie brzozy, z pozoru tak dziewczęce i chłodne, skrywają w sobie mnóstwo ciepłych uczuć.

* Alfred Edward Housman, *A Shropshire Lad* [Chłopiec z Shropshire].

- Mają w sercach pierwotny ogień ziemi - szeptęła Anne.

22 | Wreszcie po przecięciu małego leśnego wąwozu pełnego muchomorów odnalazły ogród Hester Gray. Niewiele się tam zmieniło, nadal unosił się słodki zapach czerwonych lilii, jak Diana nazywała narcyzy. Rzędy wiśniowych drzew - teraz sporo starszych - stały obsypane śnieżnobiałymi kwiatami. Nadal wśród różanych krzewów biegła ścieżka, w starym rowie bieleły się kwiaty poziomek, niebiesciły fiołki i zieleniły paprotki. Przyjaciółki zjadły piknikową kolację w rogu ogrodu, na omszałych gładkach. Za ich plecami fioletowe kiście bzu kołysały się na tle zachodzącego słońca. Obie zdążyły zgłodnieć, toteż z apetytem rzuciły się na własnoręcznie przygotowane przysmaki.

- Jak to wszystko doskonale smakuje na świeżym powietrzu - westchnęła z ukontentowaniem Diana. - To twoje czekoladowe ciasto... Po prostu brak mi słów. Musisz dać mi przepis, Fred będzie w siódmym niebie. On może jeść wszystko, a i tak jest szczupły. Ja zawsze powtarzam, że kończę z jedzeniem ciasta, bo z każdym rokiem robię się grubsza. Mam koszmarne sny, że upodabnam się do praciotki Sarah... Była tak otyła, że musieli ją podnosić z krzesła. Ale kiedy widzę takie ciasto jak twoje... albo to z wczorajszego przyjęcia... No przecież by się obrazili, gdybym nie zjadła.

- Chociaż dobrze się bawiłaś?

- W zasadzie tak, dopóki nie wpadłam w szpony kuzynki Freda, Henrietty. Ona z taką rozkoszą opowiada wszystkim o swoich operacjach i o tym, jak się czuła w ich trakcie... Na

przykład jak o mały włos pękłaby jej ślepa kiszka, gdyby w porę jej nie wycięto. „Założyli mi szesnaście szwów, nie masz pojęcia, Diano, jak się nacierpiałam!” Cóż, jeśli nie ja, to chociaż ona miała z tego prawdziwą satysfakcję. A skoro już tak cierpiała, to czemu miałaby odmówić sobie przyjemności opowiadania o tym? Jim był taki zabawny... Chociaż nie wiem, czy Mary Alice to się podobało... Już dobrze, tylko jeden tyci kawałeczek... Raz kozie śmierć, przecież takie maleństwo nie robi różnicy... No więc Jim powiedział, że w przeddzień ślubu obleciał go taki strach, że miał chęć wsiąść do pociągu i uciec. Według Jima każdy pan młody przeżywa coś takiego, tylko się nie przyznaje. Myślisz, że Gilbert i Fred też się tak czuli?

– Na pewno nie.

– To samo powiedział Fred, kiedy go zapytałam. I że jeśli się czegoś bał, to tylko tego, że mogłabym w ostatniej chwili zmienić zdanie, jak Rosa Spencer. Chociaż kto tam wie, co mężczyźni naprawdę chodzi po głowie... Ale nie ma sensu teraz się tym przejmować. Co za cudowne popołudnie dziś spędziłyśmy! I ile szczęśliwych chwil dane nam było przeżyć! Szkoda, że musisz jutro wracać.

– A nie przyjechałabyś latem do Złotych Iskier, Diano? Zanim... zanim na pewien czas zrezygnuję z gości.

– Bardzo bym chciała, ale tego lata nie dam rady wyrwać się z domu. Zawsze jest tyle roboty...

– Rebecca Dew wreszcie przyjeżdża na dłużej. Bardzo mnie to cieszy, ale boję się, że ciotka Mary Maria także nas odwiedzi. Wspomniała już coś Gilbertowi. On tak samo nie chce jej widzieć jak ja, no ale zawsze to krewna, więc nasze drzwi muszą być dla niej otwarte.

– Może wybiorę się w zimie. Marzę, by znów zobaczyć Złote Iskry. Twój dom jest taki uroczy, Anne... Podobnie jak cała wasza rodzina.

24 | – Złote Iskry rzeczywiście są ładne i już je naprawdę pokochałam. Dawniej myślałam, że to się nigdy nie stanie. Kiedy pierwszy raz wchodziłam do tego domu, nie nawidziłam go... i to właśnie za jego zalety. Czułam, że są zniewagą dla mojego kochanego Wymarzonego Domu. Pamiętam, że jak go opuszczaliśmy, powiedziałam do Gilberta: „Byliście tu tacy szczęśliwi! Nigdzie indziej nie będzie nam tak dobrze”. Przez jakiś czas dosłownie pławiłam się w tęsknocie, a potem... zauważyłam że małe kielki uczucia do Złotych Iskier zaczynają wypuszczać pędy. Walczyłam z nimi... naprawdę walczyłam, ale w końcu dałam za wygraną i przyznałam, że pokochałam ten dom. I z każdym rokiem kocham go coraz mocniej. Nie jest za bardzo stary, zbyt stare domy są smutne. I nie jest też zbyt nowy, takie nowe są prostackie. Jest po prostu dojrzały, spatynowany. Kocham w nim wszystkie pokoje. Każdy ma jakąś wadę, ale też jakąś zaletę, coś, co go wyróżnia, nadaje mu osobowość. Kocham też te imponujące drzewa na trawniku. Nie wiem, kto je zasadził, ale zawsze w drodze na górę zatrzymuję się na podeście... Pamiętasz to staroświeckie okienko z szerokim siedziskiem pod spodem? No więc siadam tam sobie, wyglądam na zewnątrz i w duchu dziękuję Bogu za tego błogosławionego człowieka, kimkolwiek był. Może i mamy zbyt wiele drzew przy domu, ale nie oddalibyśmy ani jednego.

– To zupełnie jak Fred. Uwielbia tę starą wierzbę po południowej stronie domu, chociaż psuje nam widok z sa-

lonu. Ciągłe mu to powtarzam, ale on ma zawsze tę samą odpowiedź: „Czy wycięłabyś to śliczne drzewo tylko dlatego, że ci zasłania widok?”. No więc wierzba zostaje... I rzeczywiście jest śliczna. Dlatego nazwaliśmy naszą posiadłość Farmą Samotnej Wierzby. Nazwa Złote Iskry też mi się podoba, jest taka ciepła, przytulna.

– Gilbert też tak uważa. Bardzo długo trwało, zanim podjęliśmy ostateczną decyzję. Przymierzaliśmy kilka innych nazw, ale jakoś żadna nie pasowała. Dopiero kiedy wpadliśmy na Złote Iskry, wiedzieliśmy od razu, że to ta właściwa. Cieszę się, że mamy taki duży, przestronny dom... Potrzebowaliśmy takiego dla naszej rodziny. Dzieci, choć jeszcze małe, też go kochają.

– Są takie słodkie! – Diana chyłkiem ukroiła sobie kolejny „tyci kawałeczek” czekoladowego ciasta. – Moje też uważam za ładne, ale w tych twoich jest coś takiego... No i masz bliźniaczki, tego ci naprawdę zazdrozczę. Zawsze marzyłam o bliźniętach.

– Och, u mnie to było do przewidzenia, taki już mój los. Żałuję tylko, że są takie do siebie niepodobne: Nan to śliczna dziewczynka z brązowymi włosami i gładką cerą, a Di, ulubienica ojca, ma duże zielone oczy i rude włosy, które w dodatku się kręczą. Z kolei Shirley jest oczkiem w głowie Susan. Po jego urodzeniu dość długo chorowałam, więc to ona się nim zajmowała, dopóki nie zauważyłam, że właściwie uważa go za własnego syna. Nazywa go swoim „brązowym chłopczykiem” i wprost bezwstydnie rozpieszca.

– On wciąż jest taki mały, że możesz w nocy sprawdzać, czy się nie rozkopał, i otulać go kołdrą – powiedziała Diana zazdrośnie. – Mój Jack ma dziewięć lat, jak wiesz, i już mi

na to nie pozwala. Mówi, że jest za duży, a ja tak to lubiłam! Och, jak żałuję, że dzieci tak szybko rosną!

– Z moich żadne jeszcze nie dorosło do tego wieku... Chociaż zauważyłam, że odkąd Jem zaczął chodzić do szkoły, nie lubi, jak go trzymam za rękę. – Anne westchnęła. – Ale wszyscy trzej nadal chcą być otulani do snu. Walter traktuje to wręcz jak rodzaj rytuału.

– I nie musisz się jeszcze martwić, kim będą w przyszłości. Jack ma w głowie tylko wojsko i koniecznie chce zostać żołnierzem. Żołnierzem! Pomyśl tylko!

26 |

– Tym bym się nie martwiła. Zapomni o wojsku, kiedy zainteresuje się czymś innym. Wojny to już przeszłość. Jem wyobraża sobie, że będzie marynarzem jak kapitan Jim, a Walter zapowiada się na poetę. On bardzo się różni od innych. Ale wszyscy kochają drzewa i uwielbiają zabawy w „Dołku”, jak nazywają małą kotlinkę nieopodal domu, z tajemniczymi ścieżkami i strumykiem. Takie zwyczajne miejsce, dla wszystkich to po prostu Dołek, ale dla nich – Kraina Baśni. Dzieci mają oczywiście swoje wady, ale całkiem niezły z nich gang i na szczęście nie brakuje im miłości. Och, jak się cieszę, że jutro o tej porze będę już w Złoty Iskrach opowiadać moim maleństwom bajki na dobranoc i zachwycać się pantofelnikami i paprociami Susan! Ona naprawdę ma rękę do paproci, nikomu innemu tak nie rosną. I mogę je szczerze wychwalać, ale pantofelniki? One dla mnie w ogóle nie wyglądają jak kwiaty, ale za nic nie chcę urazić Susan, więc zawsze muszę kręcić i na szczęście Opatrzność jeszcze mnie nie zawiodła. Susan jest taka dobra, nie wyobrażam sobie, co bym bez niej zrobiła. A pamiętam, jak kiedyś uważałam ją za „obcą”. Owszem,

miło myśleć o powrocie do domu, a jednak żal mi opuszczać Zielone Szczyty, Marillę, ciebie... Avonlea to takie piękne miejsce, że nie wspomnę o naszej przyjaźni...

– Tak, my zawsze... To znaczy... Nigdy nie potrafiłam mówić tak jak ty, Anne, ale przecież dotrzymałyśmy tych naszych uroczystych przysiąg, prawda?

– Masz rację. I to się nigdy nie zmieni.

Dłoń Anne odnalazła dłoń Diany. Przez dłuższą chwilę obie siedziały w ciszy, zbyt pięknej, by potrzebowała słów. Na trawie, kwiatkach i dalekich łąkach kładły się już długie wieczorne cienie. Słońce stało nisko, szaroróżowe odcienie nieba to nasycali się, to bladły na tle zamyślonych drzew. Wiosenny zmierzch brał w posiadanie ogród Hester Gray, po którym nikt już teraz nie chodził. Drozdy rozsiewały w wieczornym powietrzu swoje ciche, podobne do dźwięków fletu trele. Zza białych wiśniowych drzew wschodziła z wolna wielka gwiazda.

– Pierwsza gwiazda zawsze jest cudem – szepnęła marzycielsko Anne.

– Mogłabym tu siedzieć i siedzieć... Jaka szkoda, że musimy wracać!

– Ja też żałuję... Ale my przecież tylko udawałyśmy piętnastolatki. Trzeba przypomnieć sobie o rodzinnych obowiązkach. Jak te bzy pachną! Diano, czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że w zapachu bzu jest coś... coś niekoniecznie niewinnego? Gilberta śmieszy to spostrzeżenie... On uwielbia bez, ale mnie ten zapach zawsze kojarzy się z jakimś sekretem, czymś aż nazbyt słodkim.

– Jest zbyt intensywny, by nadawał się do domu. – Diana podniosła talerz z resztkami czekoladowego ciasta

i obrzuciła go tęsknym spojrzeniem. Kręcąc głową z miną osoby, która właśnie dostąpiła szlachetnego zwycięstwa nad sobą, wrzuciła go w końcu do koszyka.

– Czy nie byłoby zabawnie, gdybyśmy w drodze do domu spotkały siebie jako piętnastolatki, biegnące Aleją Zakochanych?

Diana wzdrygnęła się lekko.

28 | – Nieee... Nie sądzę, aby to było zabawne. Nie zauważyłam, że już robi się ciemno. W biały dzień można sobie to i owo wyobrazić, ale...

Wracały do domów w pełnym serdecznego zrozumienia milczeniu. Za ich plecami łuna zachodzącego słońca rozplomieniła dalekie wzgórza, a w sercach paliła się dawna, nigdy niezapomniana miłość.